

Jan Błoński

Witkacy a świat zachodni

Teksty : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 3 (9), 10-41

1973

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Szkice

Jan Błoński

Witkacy a świat zachodni

*Błysnął i zniknął, jak nieszczęść
[przeczcucie,
Które uderzy w serce, niespo-
[dziane,
I przejdzie straszne — lecz nie-
[zrozumiane.*

Co sprawiło, że na Zachodzie zaczęto Witkacego wydawać, czytać, może nawet — rozumieć? Czyżby katastroficzne proroctwo, które głosił, nabrało aktualności? Albo inaczej: co Witkacy ma do powiedzenia współczesnemu społeczeństwu? Jak rozpoznaje ono siebie w powieściach, które pisarz umieścił przecie w naszej połowie XX wieku?

1. To, co Witkacy tysiąc razy powtarzał

Doznanie metafizyczne — mniemał Witkacy — dostępne jest tylko jednostce¹. Społeczeństwo traktuje sztukę, religię, filozofię czysto instrumentalnie, spożytkowując je dla swoich potrzeb... albo nie zajmuje się nimi wca-

Cele jednostki
i cele gatunku

¹ Przypomnienie poglądów Witkacego opieram wiernie na: *Nowe formy w malarstwie i inne pisma estetyczne*. Wyboru dokonał oraz słowem wstępnym i przypisami opatrzył J. Leszczyński. Warszawa 1959. Dalej: *NFM*.

le. Jest tak dlatego — rozumował — że cele jednostki i cele społeczeństwa (najogólniej zaś gatunku ludzkiego) są całkowicie rozbieżne. Celem, ku któremu zdąża gatunek, jest maksymalne uspołecznienie, to znaczy takie urządzenie społeczności ludzkiej, aby mogła zaspokoić swe podstawowe potrzeby i zarazem — opanować sprzeczności własnej struktury. Aby to osiągnąć, natura musiała powołać do istnienia jednostki sięgające nieporównanie wyżej niż przeciętność. One stworzyły magię najpierw, później technikę, one też — odwagą i mądrością — zbudowały hierarchię władzy. Myślały o korzyści własnej: ale zdobycze, jakie osiągnęły, rychło zaczęły służyć — początkowo elitom, później zaś jednoliczącej się i upodabniającej całości. Te jednostki — właśnie wyjątkowe — zaznały, mierząc się ze światem, uczuć metafizycznych i wyłoniły potrzeby, którym daje upust religia, filozofia, sztuka. Cała tedy kultura (a przynajmniej to, co w kulturze najcenniejsze) powstała za sprawą nieprzeciętnych jednostek, powodowanych wolą wyższości. Im później jednak, tym trudniej wyróżnić się spośród potężniejszego tłumu. W miarę jak zaspokajane zostają cele gatunku, zmniejsza się dystans dzielący geniuszy od przeciętnej zbiorowości. W końcu wszyscy się do siebie upodobnią, zaś metafizyczne uczucie (wraz z religią, filozofią, sztuką) — zupełnie zaniknie. Łatwe szczęście ludzkości zabije trudną radość wyjątkowych jednostek.

Punkt zwrotny
historii

Punkt zwrotny dziejów człowieka umieszczał Witkacy gdzieś w XV czy XVI stuleciu. Przedtem dobra materialne były tak rzadkie, ciemne tłumy tak bezradne i przytłoczone okrucieństwem natury, że nielicznym jednostkom, które umiały zapanować nad społeczeństwem lub spojrzeć losowi w twarz — oddawano cześć niemalże boską. Zbiorowe uczucie kształtowała religia, umiejętnie stopniując doznanie Tajemnicy Istnienia i zarazem — namaszczając władców i kapłanów charyzmatem świętości. Mogli

więc oni narzucić tłumowi własną wolę, podobnie jak szacunek dla metafizycznych tajemnic, które oni tylko odczuwali lub rozumieli. Wartości (religijne, światopoglądowe, polityczne nawet) miały charakter absolutny: nikt nie wątpił, że powinno się poświęcić życie dla dogmatu wiary albo honoru króla.

Już jednak chrześcijaństwo zaczęło głosić moralną równość wszystkich ludzi: z chrześcijańskiej etyki rozwinęło się współczesne pojęcie demokracji. Pojawiała się idea postępu, głoszona przez ludowych przywódców, nieporównanie bardziej zależnych od całości społeczeństwa niż obaleni królowie. Rozwój techniki sprawił, że zaspokojenie potrzeb materialnych zmieniło się z baśniowego życzenia w rzeczywistą możliwość. Już w XIX w. na miejsce wartości absolutnych zaczęły wkraczać — społeczne. Daremnie ludzą się zwolennicy liberalnej demokracji, sądząc, że uspokoją proces jednolicenia ludzkości, maskując prawną emancypacją rzeczywiste nierówności. Ale też ludzie, którzy dzisiaj rządzą społeczeństwem — kupcy, bankierzy, przedsiębiorcy — to żałosne karykatury bohaterskich tytanów, którzy rozjaśniali przeszłość. Upodobnienie i pomniejszenie jednostek postępuje tak szybko, że niedaleko już do ostatecznych przemian, które rozpoczną zupełnie nowy etap bytowania ludzkiego gatunku. Cywilizacja, która (choćby w teorii) najwyżej stawia rozkwit jednostki, ustąpi miejsca cywilizacji całkowitego uspołecznienia, które nie jest przeciw niczym innym, jak podporządkowaniem interesów indywidualum interesom ogółu. Ów ogół można pojmować społecznie: „Ten cień straszliwy, przed którym drżą władcy świata, który grozi zgubą pojmowaniu Tajemnicy (...) to organizująca się masa dawnych niewolników”². Ale można w nim także zobaczyć gatunek ludzki, zmierzający do homeo-

Złudzenia
liberalizmu

Początek
końca

² *NFM*, s. 125.

stazy. Witkacy mienił się „biologicznym materialistą”. Przeczytałby na pewno z ciekawością głośną książkę Skinnera. Słynny uczony doradza tam ludzkości, aby — zmierzając do ekologicznej równowagi — rozstała się z przebrzmiałymi normami jednostkowej godności, swobody i oryginalności.

Witkacy mniemał, że zanik uczuć metafizycznych na korzyść ogólnej szczęśliwości jest ontologicznym prawem, „stałą formułą dla wszelkich Istnień Poszczególnych żyjących gromadnie”³. Jego katastrofizm miał więc wymiar kosmiczny... Przedstawiał czasom nadchodzącym kataklizm na wzór rewolucyjnych wydarzeń, których był świadkiem. Ale w prorocztwie, które głosił, jest niewątpliwie coś więcej niż strach przerażonego burżuaja. Witkacy dawał raczej wyraz zasadniczej nieufności (jeśli nie więcej) wobec kierunku, którym podążała ludzkość od początku mieszczańskiej epoki przemysłowej. Brzydził się zrównaniem warstw i klas jak kresowy żubr. Ale skutki rozwoju techniki, upodabniającej ludzi i przedmioty, odpychały go jak chłopca i artystę. Pierwszeństwo, przyznawane konsumpcji i organizacji, drażniło go niczym zrewoltowanego anarchistę. Zaś duchowa jałowość wielkich metropolii przyszłości łączyła go we wspólnym przerażeniu z wszystkimi tradycyjnymi humanistami. Pod krytyką kultury, jaką przeprowadzał Witkacy, mogliby się — paradoksalnie — podpisać i pogrobowiec szlachetczyzny i współczesny *hippie*, i konserwatywny mieszczanin i rewolucyjny idealista. Albowiem ludzkość — mniemał Witkacy — zmierza do mechanizacji szybko, ale krętymi drogami: w różnych społeczeństwach objawiają się rozmaite symptomy końca. Zaś rewolucje przyśpieszają tylko proces wyznaczony przez gatunkową konieczność, przez Naturę Macochę.

Zubr kresowy
i anarchiczny
hippie

³ *NFM*, s. 122.

2. Raj technologiczny

Piorunujące
przyspieszenie
rozwoju

Przekonanie, że zbliża się mutacja ludzkości, staje się z roku na rok bardziej powszechne. Byle dziennikarz powtarza, że świat zmienił się w trzy dziesięciolecia bardziej niż w trzy wieki. Społeczeństwa rozwinięte rozporządzają niesłychanymi mocami energii — nie tylko niszczącej. Przeniosły się niemal w całości do miast czy przedmieść. Informacja, do której mają natychmiastowy dostęp, uczyniła świat jednością. Pracują coraz szybciej i coraz wydajniej, ale także — coraz krócej. Czas wolny stał się problemem społecznym, nie tylko jednostkowym. Obfitość dóbr i obfitość wolnego czasu sprawiły, że — po raz pierwszy w dziejach — ludzkość zaczęła się kłopotać nie tylko wytwarzaniem, ale również zużywaniem własnych produktów.

Skutki uprze-
mysłowienia
okazały się
inne

Tak więc skutki uprzemysłowienia okazały się zupełnie inne, niż przewidywali pesymiści. Artyści, pisarze, filozofowie wieścili nadejście społeczeństwa robotów. Poddani rygorom „pracy w okrucinach”, mieliśmy pędzić życie uregulowane jak w zegarku. Czekają nas celkowe mieszkania, upodobnione w banalnym komforcie. Otoczyć nas miały identyczne przedmioty — niewysokiej niestety jakości. Gusty i potrzeby miały zostać sprowadzone do wspólnego mianownika. Homogenizacja kultury zaczęła już wyjaławiać wyobraźnię i pozbawiać jednostki możliwości wyboru... Tak by się może stało, gdyby rozwój współczesny był liniowym przedłużeniem dziewiętnastowiecznego. Ale mieszkańcy Teksasu czy Kalifornii wkraczają w społeczeństwo poprzemysłowe (Bell), w postcywilizację (Boulding), w społeczeństwo technotroniczne (Brzeziński), w „wioskę światową” (Mac Luhan). Popatrzmy, jak myśli publicysta, który technologiczny raj chce uznać za własny.

Społeczeństwo
poprzemysłowe

Silnikiem rozwoju jest technika, napędem techni-

ki — nauka, warunkiem nauki — oświata. One to w ostatecznym rachunku przyspieszają globalne przyspieszenie. Planowanie wynalazczości jest kwadraturą koła. Dlatego także nie sposób — chyba gwałtem — stawiać tam technice. Społeczne trudności najlepiej — czy najłatwiej? — rozwiązywać ucieczką w przyszłość. Po co — za cenę cierpienia i krwi — dzielić dobra istniejące, skoro można, jak Japonia, w siedem lat podwoić dochód narodowy? Byłoby również urojeniem hamować rozwój USA czy Europy, aby ratować Somali czy Paragwaj. Można dawać tylko z nadmiaru. „Milcząca większość” nie składa się nigdzie ze świętych Franciszków. Zresztą doświadczenie poucza, że filantropia obraca się najczęściej w marnotrawstwo. Lokomotywy postępu nie zdynamizują świata pomocą i dobrą wolą, raczej przykładem i — zwłaszcza — własnymi potrzebami. Pierwszym obowiązkiem krajów najbardziej rozwiniętych jest dbać, aby przyspieszenie nie rozsądziło społeczeństwa. Stwarza ono przecie ludziom nieznaną i bolesną trudność.

Muszą oni bowiem zamieszkać w zmienności. Wszystko staje się krótkotrwałe, tymczasowe, nieznane. Przedmioty zaczynają służyć do jednorazowego użytku. Taniej (więc dostępniej) jest produkować niż naprawiać. Taniej bywa także wynajmować niż nabywać: chwieje się zatem poczucie własności. Otoczenie człowieka zmienia się w wędrówkę po geografii i historii. Struktury zawodowe muszą dostosować się do tempa produkcji. Pracownicy coraz częściej zmieniają przedsiębiorstwa i wzajemnie. Zespoły powołuje się do wykonania zadań, które się więcej nie powtórzą: dlatego sztywną biurokrację, cechującą tradycyjne kolosy przemysłowe, zastępuje „ad hoc-kracja” oparta na ekspertach i specjalistach. W przedsiębiorstwach, szkołach, urzędach trwa nieustanna reorganizacja. Wzmaga się różnorodność pomysłów, technik, potrzeb. Zmienność wzmacnia napięcie, ale skraca trwałość

Ucieczka
w przyszłość

Człowiek
„modularny”
żyje w zmien-
ności

Spółeczeństwo
rozpada się
na sekty

stosunków międzyludzkich. Przyjaźnie nawiązują się łatwiej, ale gasną po latach czy miesiącach. Funkcje erotyczne odłączają się od ekonomicznych i wychowawczych. Jeśli małżeństwa mają opierać się na zrozumieniu i wspólnocie zainteresowań, nie mogą trwać przez całe życie. Dzieci dojrzewają szybciej i gubią się z oczu rodziców. Granice międzypokoleniowe nabierają większego znaczenia niż językowe czy terytorialne. Ludzie zdają się rozporządzać kilkoma losami, po kolei lub równocześnie: słabną czy znikają korelacje między aktywnością gospodarczą a rodzinną, erotyczną i kulturalną, produkcyjną i rozrywkową. Spółeczeństwo rozpada się na sekty: mnożą się tysiące stowarzyszeń, nie mówiąc o grupach nieformalnych. Każde pokolenie ma swoje idole, każdy wiek swe namiętności. Zmienność, nowość, różnorodność to rzeczywiste wyznaczniki współczesnego społeczeństwa.

Rezerwy dla
nieprzystoso-
wanych

Zapewne, nic nie jest za darmo. Obfitość wrażeń męczy i przeraża. Szybkość zmian wywołuje trudności adaptacyjne. Różnorodność utrudnia wybór i w końcu obezwładnia. Taki jest właśnie „szok przyszłości”! Ale wszystkiemu zdoła zaradzić pragmatyczna roztropność. Ludzi należy od dzieciństwa przyzwyczajać do zmienności. Dobrze im również mościć oazy spokoju, zapewniać strefy trwałości. Tym, którzy nie mogą dostosować się do współczesnego świata, można symulować przeszłość. Czemu by nie mieli żyć tak jak w młodości albo nawet w osiemnastym wieku? Będzie to tylko z pożytkiem dla całości społeczeństwa. Dawać mu bowiem będą poglądowe lekcje historii i wzbogacać je o zapomniane obyczaje... Byłoby dzieciństwem przeczyć istnieniu straszliwych napięć, spowodowanych przyspieszeniem. Ale powszechna tolerancja obejmuje także tych, którzy nie potrafią się zaadaptować. Ponieważ rosnąć będzie zapotrzebowanie na różnorodność, nawet szczątkowe wartości mogą

zostać „odzyskane” i spożytkowane. W domu przyszłości jest mieszkania wiele.

Argumenty proroków rajy technologicznego nie są bynajmniej godne zlekceważenia. „Tylko zbłąkani romantycy — pisze Alan Toffler — żądają powrotu do «stanu natury». Stan naturalny to stan, gdzie rachityczne dzieci umierają, pozbawione najbardziej elementarnej opieki, gdzie niedożywienie poraża rozwój mózgu i życie, jak mówił już Hobbes, jest «ubogie, surowe, krótkie i nieprzyjemne człowiekowi». Odwrócić się plecami do technologii byłoby nie tylko głupstwem, ale także zbrodnią. Zważywszy, że większość ludności świata cierpi jeszcze życie, godne wieku dwunastego, kim jesteśmy my, aby mieć czelność odrzucenia kluczy rozwoju ekonomicznego? Tych, którzy rozpowszechniają antytechnologiczne bzdury w imię mętnych «wartości ludzkich», trzeba zapytać, w imię jakich «ludzi» ośmielają się mówić? Zastopować maszynę to skazać setki milionów na trwałą, ponurą nędzę, i to właśnie w tym momencie Historii, kiedy można by jej położyć kres. Nie tylko nie należy hamować postępu technologicznego, ale przeciwnie, należy go przyspieszyć, aczkolwiek nie ulega wątpliwości, że narzędziami technologii posługujemy się dzisiaj tępo i egoistycznie”⁴.

Można rozmaicie oceniać prawdopodobieństwo i wartości Tofflerowskiego krajobrazu przyszłości (czy przyszłości jeszcze?). Jedno wszakże pewne: różni się on zasadniczo od Witkiewiczowskiego proopectwa. Imię krytyków „mechanizacji” i „niwelizacji” było w przeszłości legion. Ale wszyscy porównywali — nie całkiem świadomie — dziejowo określone doświadczenia. Czynności wytwórcze

Moralne racje
technologii

⁴ A. Toffler: *Future Shock*. London 1971 s. 337. Zarysowany powyżej obraz przyszłości zaczerpnąłem częściowo od Tofflera, którego głośna książka może posłużyć jako kompendium — stosunkowo przytomnej — futurologii. Pomiąłem wszakże to wszystko, co odnosi się do społecznie nie wdrożonych możliwości techniki.

Nie kierat, ale
kalejdoskop

członka społeczności tradycyjnych (oracza, pastucha, bednarza, kupca nawet) były jednostkowe, zróżnicowane i właściwie niepowtarzalne. Jego zachowanie społeczne było tymczasem ściśle uporządkowane i częściowo zrytualizowane. Inaczej u XIX-wiecznych mieszkańców Manchesterów i Düsseldorfów. Stracili oni poczucie powagi i wspólnoty norm religijnych i moralnych, wdrażając się do pracy jednostajnej a pokawałkowanej. Zaciekłość przeciwników przemysłowego mrowiska nie była więc bezzasadna ani bezpożyteczna. Teraz jednak elektronika i energia nuklearna pozwalają na jakościowy skok naprzód. Człowiekowi przyszłości nie grozi kierat, ale kalejdoskop, nie brak, ale nadmiar wolności, nie upodobnienie, ale rozproszenie w tysiącach potrzeb, możliwości i upodobań.

3. Pomyłka Witkacego

Tak więc pomylił się nasz Witkacy. Zaufanie do techniki nie musi wcale oznaczać zgody na upodobnienie.

Entropia nie
musi zwyciężyć

Jaka była teoretyczna przesłanka pomyłki? Przekonanie, że każdą społecznością rządzi prawo społecznej entropii. Ze zwycięża zawsze tendencja do rozkładania i pomniejszania różnic między ludźmi. Tymczasem każda społeczność w miarę, jak roztopia stare różnice, wytwarza nowe. Każda wartość, którą można i należy wymienić, stwarza nie znany uprzednio podział.

Wymiana wartości (uchwytna pod postacią wymiany znaków) rysuje się najczyściej, niemal modelowo, w społecznościach pierwotnych, pozbawionych świadomości historycznej. Ona to właśnie wyraża się bogactwem systemów pokrewieństwa, podziałem na klany i rody, nakładaniem się i przecinaniem funkcji religijnych i świeckich... Mnożenie różnic nasila społeczną komplikację, powoduje roś-

nięcie nierówności. To Witkacy nieraz podkreślał. Mówił przecie, że kultura jest dzieckiem krzywdy⁵. Przejście od społeczeństwa pierwotnego do historii dokonało się na pewno za cenę gwałtu. Pojawiły się „wybitne jednostki”, które zburzyły równowagę równościowej (gospodarczo) wspólnoty... Czemu jednak moce, różnicujące społeczeństwo, miałyby osłabnąć w społeczeństwie mieszczańskim, zaniknąć w socjalistycznym? Przecie — w ostatecznym rachunku — zależą od ludzkich talentów w wytwarzaniu wartości?

Czy nie jest raczej tak, że we wszystkich społecznościach procesy różnicujące odpowiadają — mniej więcej — procesom ujednoczenia? I dopiero zupełne rozchwianie tej równowagi wywołuje radykalny przewrót? Tak zdawał się mniemać Gombrowicz. Powiadał, że wszędzie, gdzie istnieje „forma” (tutaj — społeczna struktura) muszą istnieć także punkty słabe i mocne⁶. Motorem ludzkich działań jest zajęcie ważniejszego (powszechniej cennego) miejsca w danej strukturze. Gombrowicz rozumował zatem tak, jakby nie było żadnej „obiektywnej” miary różnicy. Istniały epoki, kiedy o postępowaniu człowieka decydowały odmierności prawne albo majątkowe. Czy musi to znaczyć, że ludzie zrównani majątkowo czy prawnie przestaną odczuwać własne zróżnicowanie? Bynajmniej. Miara zmienia się bowiem razem z tym, co mierzone. Dość zresztą rozejrzeć się dokoła, aby zobaczyć, jak — w miejsce dawnych — wyrastają nowe opozycje. Różnice wyznaniowe nieraz podpalały Europę. Przycichły potem, chociaż nie zamarły. Aby ku powszechnemu zgorszeniu wystrzelić nagle krwawym irlandzkim fajerwerkiem... W mieszczańskich społeczeństwach Zachodu asymilacja Żydów

Witkacy
a Gombrowicz

Złudzenia
perspektyw

⁵ Por. np. *NFM*, s. 129.

⁶ Por. np. W. Gombrowicz: *Dziennik 1957—1961*. Paryż 1962, s. 90.

Upodobnienie
= zróżnicowa-
nie

zdawała się przyspieszać wraz z rozwojem kapitalizmu. Tymczasem odnowiła się nagle — i nie tylko w Niemczech — opozycja Żyda i nie-Żyda, której nie sposób przecie sprowadzić do kryzysu kapitalizmu. Przed kilkudziesięciu laty lekarza ceniono niżej od rentiera, nawet jeśli miał okazańsze dochody. Musiał bowiem sprzedawać swą pracę. Tak więc opozycja posiadający — nieposiadający mogła — w społecznej świadomości — wziąć górę nad przeliczalną oceną zamożności. Dzisiaj przeciwnie. *Manager* zdaje się często cieszyć większym szacunkiem od właściciela — nawet w społeczeństwach bardzo gorąco przywiązanych do kapitalistycznej gospodarki. Takie opozycje różnicują ludzi dzisiaj, kiedy pieniądź pyszni się cynicznie pierwszeństwem. Dlaczegoż byśmy mieli uważać je za wtórne, skoro często działają wbrew opozycjom gospodarczym? A cóż dopiero, gdyby pomniejszyło się znaczenie nierówności majątkowej?

Profesor
uciska studenta

Przyspieszenie techniczne przekształca dziś świat coraz żwawiej. Pojęcie pokolenia jest na pewno ważniejsze teraz niż w średniowieczu. Wszędzie „młodzi” określają się przeciwko „starym”, i odwrotnie. Pojawiają się nawet książki głoszące, że nauczyciel uciska ucznia, profesor studenta. Istnieje więc — w świadomości społecznej — opozycja uczący — uczony. Powiadacie, że to opozycja głupia? Być może, ale skuteczna: uruchomiła ręce — ciskające butelki z benzyną i ręce — podnoszące policyjne pałki. W mnogich ruchach, głoszących emancypację seksualną, wolno dopatrywać się nie tylko walki płci, ale także — ujawnienia opozycji hetero- i homoseksualistów(ek). Można sobie wyobrazić inne jeszcze przeciwstawienia. Tak na przykład: powolny — szybki w adaptacji. Czyż pierwsi nie zawładnęliby łatwo drugimi, nawet gdyby znaleźli się w mniejszości? Albo: obdarzony — nie obdarzony wyobraźnią. Przecie to różnica ważna

w społeczności, która by ceniła najwyżej działalność ludyczną? Czy nie jest więc może tak, że im szybciej krążą znaki i wartości, tym silniej ludzie odczuwają swe — błahe niegdyś — odmienności? Wtedy zwłaszcza, kiedy dobrobyt zaciera najbardziej raziące niesprawiedliwości.

Jakie różnice mogłyby spiętrzyć się najwyżej? Może różnice urody, wieku i sprawności cielesnej? Tak mniemał opętany młodością Gombrowicz. Póki młodości było więcej niż wiedzy i kapitału, nie ceniono jej wysoko. Ale w przyszłości? Dalej: pieniądź jest często mediacją władzy. Pozwala uzyskać rzadkie dobra, owszem. Ale także — jeśli nie przede wszystkim — osiągnąć znaczenie i potęgę. Zdolność manipulowania ludźmi może różnicować społeczeństwo jawnie, bez pośrednictwa pieniądza. Mówić, że tylko posiadanie dóbr rozszczepia społeczeństwo jest naiwnością, z którą poważny etnolog nie podejmie nawet dyskusji.

A jednak Witkacy tak często w praktyce rozumował! Oto właśnie Marks postawiony na głowie. Jest prawdą, że zróżnicowanie majątkowe wykazuje tendencję malejącą. I prawdą jest także, że rozmazanie wszelkiej różnicy jest śmiercią. Ale z tego wcale nie wynika, że nigdy nie było ani nie będzie różnic równie skutecznych społecznie. Aby dobrze rozumieć Witkacego, trzeba zawsze mieć w pamięci jego jednostkowe natręctwa. Był to człowiek poddany instynktowi śmierci. I tak na pewno bywało, że strach przed własnym wygaśnięciem (jako artysty na przykład, co poznać po rozpaczliwym porzucaniu malarstwa dla teatru, teatru dla powieści, powieści dla filozofii) — rzutował on w stronę społeczną, uogólniając osobiste przerażenia. Katastrofizm pisarza został na pewno naznaczony jego politycznym doświadczeniem. Ale sprzężony był również ze skłonnością samobójczą i fascynacją śmierci.

Młodość i
władza cen-
niejsza niż
kapitał

Katastrofizm
a skłonności
samobójcze

4. I prawda Witkacego ?

Czy człowiek
to maszyna
do sumowania?

Kant i
Buckminster
Fuller

Jeśli rozumieć „mechanizację” jako upodobnienie, Witkacy się prawdopodobnie pomylił. Można zaufać majstrom reklamy i geniuszom marketingu: świat przyszłości nie będzie monotony. Inna rzecz, czy nie będzie jałowy. Pod pstrą zmiennością skrywać się może poczucie pustki, daremności, przygodności. Jaka jest bowiem — zapytajmy z kolei — skryta przesłanka Tofflera i jemu podobnych? Powiadają oni, że nie uważają wcale technicznej sprawności za cel sam w sobie. Chóralnie zapewniają, że najbardziej leży im na secu „wszechstronny rozwój człowieka”. Czemu nie wierzyć w takie sympatyczne *credo*?

Sęk w tym, że pojmują człowieka jako maszynę do sumowania. Praca świadomości jest reakcją na bodźce płynące z ludzkiego otoczenia. Tym bogatsze będzie zatem wnętrze człowieka, im więcej ukształtuje go bodźców, im różnorodniejsze będą i bardziej przemyślnie. Los ludzi skazanych na ubóstwo, nieruchomość, powtarzalność budzi w Tofflerze pobłażliwą litość. Jakże to tak można: nie zmieniać miejsc, przyjaźni, przedmiotów, namiętności? Ale Romeo kochał raz tylko — chociaż skutecznie. Kant nie wyściubił nosa z Królewca. Zaś Antoni wyprowadził się nawet na pustynię... Czyżby naprawdę pędzili życie jałowe, ubogie? Zapewne — przyznaje Toffler — istnieje granica, poza którą wrażliwość i zdolność kojarzenia ulegają stopniemu. Trzeba ją zatem — odpowiednim wychowaniem — przesunąć jak najdalej! Bo w tym tylko nadzieja ludzkości, że silniejsi, hojniej przez naturę zaopatrzeni pokonają „szok przyszłości”. Już dzisiaj — mniema Toffler — dwa czy trzy procenty ludności Ameryki żyje w XXI w. To wielcy dyrektorzy, profesorowie, wysoko kwalifikowani specjaliści, członkowie klubu pięciu milionów (przelecianych kilometrów), do jakich zaliczał się chełp-

liwie Buckminster Fuller. Dla słabszych pozostaną zawsze rezerwy. Jak dla Indian, chciałoby się dopowiedzieć.

Sprzężenie między behawioryzmem, technolatrią i zaufaniem do postępu — dziecinnie jawne u Tofflera — objawia się często subtelnie czy nawet paradoksalnie. Jednak zawsze, kiedy mowa o „wszechstronnym rozwoju”, rozsądek nakazuje nastawić uszy. Ładnie byśmy wyglądali, gdyby człowiek naprawdę spełnił wszystkie swe możliwości! Ale po co odwoływać się do apokalipsy. Jeśli to „spełnienie” rozumieć ilościowo, hasło wszechstronnego rozwoju musi sprowadzić się do mnożenia bodźców, czyli — w ostatecznym rachunku — do przyspieszonego przekształcania ludzkiego otoczenia.

Rzadko bowiem — jeśli nie wcale — prorocy technicznego raju pytają o hierarchię motywacji albo o racje wartości, które człowiek wytwarzał w przeszłości.

Powołajmy się teraz na filozofa, który ukształtował się także na scjentyzmie czy pozytywizmie. Od niższego świata zwierząt — powiada Lem — człowiek różni się zwłaszcza niedokończeniem i nieprzystosowaniem. Jeśli zdołał przetrwać, to nie dlatego, że był lepiej uzbrojony od mrówek. Raczej dlatego, że mógł — w trudzie i męce — pokonać niebezpieczeństwa grożące zarówno mrówce, jak i słoniowi... Właśnie nadmiarowość ludzkich uzdolnień stoi u źródła kultury. „Paradoks człowieczeństwa polega na tym, że biologiczna niedookreśloność zmusza człowieka do stworzenia kultury — a ta kultura, powstawszy, zaczyna niezwłocznie różnicować wartościującą ludzką biologię (...) Każda kultura ogłasza swą jedyność i konieczność i tak właśnie sporządza swój ideał człowieka”⁷. Przekonanie,

Behawioryzm
i technolatria

Paradoks czło-
wieczeństwa
według Lema

⁷ S. Lem: *Kultura i futurologia* („Nurt” 1972 nr 8), skąd pochodzi też następne przytoczenie. Szkic ten można uważać

że człowiek mógłby rozwijać się we „wszystkich kierunkach” jednocześnie, jest zatem zwyczajnym urojeniem. Potrzebny mu jest — z nakazu ewolucji! — nieudowodnialny projekt istnienia i wzorzec postępowania. Lem nazywa go „kulturą” albo raczej — aksjologicznym fundamentem kultury. Ale „wartości naczelne (...) — powiada paradoksalnie — nie są w ogóle do wynalezienia”! Człowiek nie może świadomie „zaprogramować” aksjologii, którą mógłby z pełnym przekonaniem uwewnętrznić. Aby skutecznie sterować ludzkim rozwojem, wartości muszą być odczuwane jako dane, objawione, niezależne od człowieka. Bo nie tylko myślące z niego zwierzę, ale bardziej jeszcze — „wierzące”...

Nic pozornie nie kłóci nauki z aksjologią. Uprawiają przecie osobne półka... Jednak — skoro tylko dostanie się do społecznej świadomości — nauka (a tym bardziej technika) wpływa na kulturę niszcząco. Pokazuje bowiem, że żaden z modeli czy wzorców kultury nie jest absolutnie konieczny i człowiekowi przyrodzony... Że nie to ważne, w co wierzymy, ale to, że wierzymy. Jeśli tak, wszystkie kultury są sobie równe (Lévi-Strauss *dixit*) i postęp sam siebie unieważnia. „Wołania futurologów o nowe pomysły — pisze Lem — są marzeniem o wynalezieniu nowej kultury — przy czym nie tyle sam taki wynalazek jest niemożliwy, ile wdrożenie go w życie. Chodzi bowiem o wykonanie substytutu pewnej wiary, po jej utracie, jako całkiem nowej wartości, którą ludzkość ma sobie przyswoić dlatego, ponieważ bez wysforowanych przed nią celów żyć nie można”. Zdradzając — mimo uczonego chłodu — skrajny pesymizm cywilizacyjny, Lem zaprzecza zdecydowanie możliwości „wiary dla wiary”, „kultury dla kultury”. Jakże sprawić, aby ludzkość udawała, że wierzy w szczytne wartości dlatego, że taka wiara sprzyja

Czy można
świadomie
wdrożyć
kulturę?

za podsumowanie refleksji cywilizacyjnej i futurologicznej, zawartej w *Dialogach* i *Summie technologii*.

rozwojowi i dobremu samopoczuciu? Równie dobrze można by przekonywać profesora Kotarbińskiego, aby uwierzył w Boga, ponieważ poczuje się weselszy i pożyteczniejszy. Zresztą codzienna obserwacja świata przekonuje o rosnącym rozproszeniu i instrumentalizacji wartości. Zjadaczom chleba pozostaje tylko nadzieja powszechnego dobrostanu, zachwyty nad osiągnięciami techniki (co — w konsekwencji — upodabnia ludzkie zachowania do towarów...) albo wreszcie — postawa ludyczna. Ale kultura, która służy wypełnianiu wolnego czasu, musi nieuchronnie stracić zdolność sterowniczą. Tak więc wędrujemy po obwodzie błędnego koła.

Gdyby — na zamówienie futurologów — powstała kiedyś kultura radykalnie nowa, byłaby królestwem złej wiary. Jakże blisko jesteśmy teraz Witkacego! Już wywód Lema przypomina trochę Witkiewiczowski. Obaj mniemają, że natura niejako nie wystarcza człowiekowi... z tym wszakże, że „nadmiarowa” nadwyżka, jaką wytworzył, skazana jest na kryzys albo wręcz zagładę. Początkowo ludzkość zwracała swe wysiłki ku wynalezieniu kultury powszechnie prawdziwej, obowiązującej. Doznawszy porażki — gdzieś między Kartezjuszem a Heglem — skłoniła się raczej ku rozwiązaniom pragmatycznym, których filozoficznym wyrazem byłby empiryzm czy pozytywizm. Witkacy powiedziałby, że filozofia zdradziła swe powołanie, rezygnując z budowy systemów...

Popatrzmy teraz na sztuki i powieści Witkacego. Czy gorzka wędrówka Witkiewiczowskich bohaterów nie jest właśnie komedią złej wiary? Czy nie ścigają oni w życiu wartości absolutnej (= doznania Tajemnicy Istnienia) wiedząc, że jej nigdy naprawdę nie posiadają? Czy nie inscenizują osobliwych wydarzeń, usiłując wymusić na sobie zaufa-

Królestwo
złej wiary

Witkacy w
Kalifornii

nie do nadrzędnych celów?⁸ Lem powiedziała by może, że tak właśnie mści się nie zatrudniona „nadmiarowość” ludzkich uzdolnień...

Już przed kilku laty kraj przyszłości, Kalifornia, zaczął się Miłoszowi upodabniać do społeczeństwa *Nienasyenia*. Gdzie kwitną ekstatyczne związki religijne, narkotyczne, seksualne? Gdzie moda nie-sie buddyzm zen i wiarę w Krisznę, niczym objawienie Murti Binga? Gdzie Timothy Leary, niczym Łohoyski, głosi moralność narkotycznego otumanięcia? Gdzie w powietrzu brzęczą tysiące uczonych dysput, które coraz mniej obchodzą słuchaczy?⁹ Gdzie młodzi, zniewoleni zmiennością, tracą — najdosłowniej — poczucie rzeczywistości? „*It's all in your mind*” — powiadają. Bo skoro zrównały się wszystkie wiary i mniemania, wszystkie zmieniły się w wewnętrzną fantasmagorię! Nie mylą zwłaszcza dwa zjawiska. Frustracja intelektualistów, poszukujących — niczym bohaterowie Witkacego — cudownego leku na zatrącenie tożsamości, na metafizyczne cierpienia. I niezadowolenie zapracowanego a wzbogaconego ludu, którego igraszki pięknoduchów przyprawiają o mdłości. I chociaż rewolucja jest na pewno daleko, kto wie, czy Kocmołuchowicz nie jest już blisko? Jakkolwiek by było, nigdzie nie rozeszły się bardziej przeświadczenia milczącej większości, tej właśnie, która — gotowa do przystosowania — czeka w tle powieści Witkacego... i barwne, naiwne czy szlachetne marzenia i bunty niezadowolonych, któ-

“*It's all in
your mind*”

⁸ Por. J. Błński: *Znaczenie i zniekształcenie w «czystej formie» St. I. Witkiewicza*. „Miesięcznik Literacki” 1967 nr 8; *Teatr Witkacego. Forma formy*. „Dialog” 1967 nr 12.

⁹ Pedagodzy i socjologowie, którzy zajmują się kryzysem szkoły na Zachodzie, dochodzą zgodnie do wniosku, że wśród uczniów słabną i zanikają motywacje, które skłaniają do brania udziału w zajęciach. Stwierdza to m.in. raport rządowej komisji francuskiej (tzw. *Commission Jore*). W szkołach, zwłaszcza zawodowych, uczniowie zachowują się jak klienci w sklepie wypełnionym bułkami.

rych Witkacy nie wahałby się pewnie nazwać „byłymi ludźmi”.

Nie jestem ja tak szalony, aby rozsądzać, czy pesymistyczne spojrzenie na społeczność, która nie jest moją społecznością, słuszne jest czy niesłuszne. I nawet opinia Miłosza jest i pogodniejsza, i bardziej zróżnicowana. Mnie wystarczy przypomnieć, że i taka lektura Witkacego jest możliwa. „Mechanizację” wolno rozumieć nie tylko jako upodobnienie. Może ona również oznaczać paralelną instrumentalizację i „fantasmagoryzację” wartości. Wtedy też — jak się zdaje — można by proroctwo Witkacego zastosować do technologicznego raj, którego pierwszym wcieleniem stał się stan zachodzącego słońca.

Fantasmagoryzacja wartości

5. A jeśli raj nie będzie ?

Podnosi się jednak coraz więcej głosów zapowiadających, że żadnego raj nie będzie. Po prostu dlatego, że nie starczy nam ani miejsca, ani żywności, ani surowców, ani nawet powietrza i wody.

„Granice wzrostu”¹⁰ obudziły w świecie dyskusje równie namiętne co nierozsądne. Można rozmaicie oceniać obliczenia statystyków z Massachusetts. Ale oni sami nie przestają się zastrzegać, że nie sporządzili prognozy, ale model albo raczej kilka modeli, które zdają się prowadzić do zgodnego wniosku. Nigdy świat nie postępował szybciej niż w ostatnich trzydziestu latach. Czy jednak rozwój techniki i przemysłu jest zjawiskiem nieskończenie przedłużalnym? Załóżmy, że tak i spójrzmy, co się wtedy stanie ze światem. Zobaczmy, że „składany procent” rozwoju wywróci na nice wszystkie do-

Świat pozbawiony precedensów

¹⁰ *The Limits to Growth. A Report for the Club of Rome's Project on the Predicament of Mankind.* London 1972. Dalej: LG.

świadczenia i przewidywania. Albowiem już dzisiaj świat — jeśli wolno tak powiedzieć — został pozbawiony precedensów.

Jak nie kijem
to pałką...

Nie wszyscy
będą jeździć
cadillacami

Faust nie chce
pójść na
emeryturę

Zainspirowani przez Klub Rzymski statystycy nie podejmują się roli proroków. Kiedy właściwie rozwój — rosnąc wykładniczo — pozbawi ludzkość żywności i surowców, kiedy krzywe produkcyjne zaczną raptownie spadać, zanieczyszczenia zaś spustoszą morza i kontynenty? Może koło roku 2030 (jak mniemają pesymiści), może dopiero po 2100. Rzecz w tym, że kryzys *musi* kiedyś nastąpić. Gdyby w 1975 (!) zrównoważyć przyrost naturalny, opóźni się on o lat dwadzieścia. Gdyby podwoić zasoby surowców, zyskamy dziesięciolecie. Ale przypuśćmy, że technika udostępni nam zasoby „nieograniczone”? Zadręczą nas wtedy zanieczyszczenia... Powiedzmy więc, że ograniczymy je do jednej czwartej. Zyskamy wszystkiego trzydzieści lat. A gdyby i ludność ustabilizować, i żywności przysporzyć, i surowcami gospodarować rozsądnie? Wtedy zdobędziemy najwyżej pół wieku. To jest właśnie sedno sprawy. Każdy z decydujących dla rozwoju czynników (ludność, żywność, surowce, zanieczyszczenia) wystarcza, aby samemu zastopować rozwój. I zastopować gwałtownie, apokaliptycznie. Świata, gdzie wszyscy będą jeździć cadillacami, nie będzie. Zaś społeczności, które się spóźnią, spóźnią się na zawsze.

Wolno pokładać ogromne nadzieje w ludzkiej wynalazczości. Nikt nie potrafi uchwycić ilościowo pomysłów, które się jeszcze nie narodziły. Tysiące wynalazków mogą opóźnić (ale także — przyspieszyć!) moment kryzysu, przesuwając nieco kierunek technologicznego rozwoju. Ale nie zmienia to w niczym ostatecznych wniosków Klubu Rzymskiego. Czynnikiem decydującym jest bowiem przyrost produkcji przemysłowej, bóstwo wszystkich społeczeństw i ambicja wszystkich ustrojów. Faust nie chce wcale pójść na emeryturę.

Wolno także — aczkolwiek trudniej — wierzyć w roztropność rządów. Już dzisiaj podejmują czasem nieśmiałe działania, które zmniejszą — częściowo — plagi przyszłości. Ale będą przecież musiały kiedyś powiedzieć nienasyconym społeczeństwom, że rozwój musi zostać zwolniony, następnie zaś — zatrzymany. A zwłaszcza: na jakim poziomie? Raport powiada, że na znacznie niższym aniżeli dzisiejszy standard życia Stanów Zjednoczonych. Jakkolwiek by było, człowiek ocaleje tylko wtedy, jeżeli przestanie poświęcać się wytwarzaniu i posiadaniu. Jeżeli zrozumie, że raczej skromność trzeba sprawiedliwie rozplanować aniżeli bogactwo.

6. Utopie optymistyczne

Ileż dzisiaj utopii! Każdy zachwala swoją na ulicach Metropolis. Ręce precz od uciskanych mniejszości! Ratuj przyrodę: była twoją matką, jest teraz twoją podopieczną! Idź za Jezusem! Od monogamii do faszyzmu jest tylko krok! Bądź różny: nastał czas dandyzmu... Nie sprzeciwiaj się złu! Równouprawnienie dla homoseksualistów! Przez dynamit do szczęśliwego społeczeństwa! Ogol głowę i czekaj na natchnienie Kriszny... I tak dalej.

Źródła utopii

Są co najmniej trzy źródła utopii. Najpierw — trudności adaptacji do społeczeństwa przemysłowego i utrata poczucia rzeczywistości. Zapewne, człowiek może wytrzymać znaczniejsze jeszcze przyspieszenie. Znamienna jest jednak rosnąca liczba nie przystosowanych. Dorośli rezygnują z walki konkurencyjnej. Miliony ludzi godzą się żyć na koszt opieki społecznej (nie tylko w Nowym Jorku). Młodzi odmawiają udziału w grze. Głośne rewolty przygasły, owszem, ale co roku 15% amerykańskich studentów rzuca uczelnie i rusza w „inność”... w erotyczne, narkotyczne, ekologiczne spo-

Rimbaud
i pepsi-cola

łeczności — jeżeli po prostu nie waleśa się bez nadziei i celu, czekając na czek wyrozumiałego krewnego. Rimbaudowskie „*la vraie vie est ailleurs*” budzi dziś chyba echa szersze niż „pepsi-cola to właśnie to”.

Przez usta
brodaczy
przemawia
tradycja

Działa dalej — wbrew pozorom — tradycja, zwłaszcza religijna i humanistyczna. Nie jest przypadkiem, że ośrodkami kontestacji są instytuty filozofii, socjologii i psychologii, że najgorliwszych buntowników dostarczają często środowiska religijne. Argumenty bywają niezdarne albo przebrzmiałe: mówić, że proletariatsz biednieje bezwzględnie albo stawiać Niemcom za wzór Albańczyków to nie diagnoza, ale symptom. Lecz wyraz nieprzystosowania spleta się nierozzerwalnie z protestem klasowym... Jakkolwiek by było, zapomina się nieraz, że to właśnie przeszłość lubi przemawiać przez usta brodatych i bosonogich. Przed kilku laty Tom Gitlin, przywódca SDS, pisał, że „od półtora wieku wszystkie ruchy rewolucyjne albo liberalne były zwiastunami nowego świata”. Tymczasem Nowa Lewica czuje się „niezdolna do nadania kształtu przyszłości”¹¹. Po prostu dlatego, że nie ma do tej przyszłości zaufania. W *Widzeniach nad zatoką San Francisco* Miłosz przytacza aforyzm ścienny z Berkeley: „Z powodu braku zainteresowania jutro się nie odbędzie”. Życie zmieni się natychmiast albo wcale. Przepływ jest zbyt szybki, aby troskać się o następców. Kim będą za lat pięć, za dziesięć? I kim za dziesięć lat będę ja? Dlatego rozwiązania polityczne cieszą się najwyraźniej mniejszą popularnością niż cywilizacyjne. Zapewne, wszyscy ujmują się za Murzynami czy Wietnamczykami. Ale czy nie inne ruchy są bardziej znamienne? Takie choćby, które rywalizacji przeciwstawiają bezkompromisowo miłość bliźniego, technologii — powrót do natury, porząd-

Zakwestionowanie fundamentów

¹¹ T. Gitlin: *The Politics and Vision of the New Left*. «Radical Education Project», San Francisco bd., s. 2 i 5. Według: Toffler: *Future Shock*, s. 428.

kowi społecznemu — podróż do kresu doświadczeń (erotycznych, narkotycznych), dyscyplinie — spontaniczną swobodę. Zakwestionować należy coś bardziej fundamentalnego niż rozdział dóbr (wcale obfitych) czy podział prac (całkiem wydajny). Raczej już rodzinę, miłość, stosunek do przyrody, Boga — słowem, przesłanki lub cele społeczne.

O nowej cywilizacji manzyli najpierw artyści i narwańcy. Potem znaleźli niespodziewanych sojuszników: działaczy, dyrektorów i profesorów, ogarniętych paniką wzrostu. Mniemano kiedyś, że gospodarka zaspokaja potrzeby istniejące. Ale przecież — przypomina Galbraith — wzbudza zarazem nowe! „Jakość życia” osiągnąć więc można tylko dzięki selekcji potrzeb... Czy ostatecznym zadaniem Wspólnego Rynku — pyta Mansholt — nie powinno być osiągnięcie równowagi (wzrostu zerowego)? Istnieje pilna konieczność ustalenia „górných granic”, poza które ludzkość nie będzie się starała wyjść. Tak woła Ivan Illich, już nie uczony liberał, ale prorok i kapłan. Posłuchajmy zatem proroka — jak niegdyś Fouriera czy Mickiewicza. Tym bardziej, że zna się na rzeczy, ściśle: na Ameryce Południowej.

Najgroźniejszym z bakcyli, które bogaci zaszczepili biednym, jest bzik uprzemysłowionego postępu. Narzuca on bowiem opóźnionym zadanie nad siły: niemożliwe i niepotrzebne. Inwestycje czy dary odnoszą podobny skutek: taki mianowicie, że miejscowe elity starają się za wszelką cenę doścignąć USA. Koszty płacą oczywiście nędzarze... Nie dość więc, że narody ubogie coraz bardziej ubożeją. Co gorsza — „import postępu” pogłębia wewnętrzne niesprawiedliwości i poraża warunki dobrej przyszłości. Ponieważ Belem nie zmieni się nigdy w Filadelfię, należy podważyć współczesny dogmat: zasadę „doganiania” rozwiniętych przez zapóźnionych.

Rozpętanie produkcji jest niemożliwe, rozpasanie

Jakość życia
a selekcja
potrzeb

Dogmat
„doganiania”

Zrewolucjonizować szkołę...

...kościół...

...i szpital

konsumpcji niemoralne. Lecz mrzonką jest nie tylko totalne uprzemysłowienie. Zmieniać trzeba zwłaszcza model cywilizacji, wszystkie instytucje, które tresują ludzi do społeczno-technicznego wyścigu. To przecie szkoła wdraża do walki o dyplom, urząd, majątek. Czy nie byłoby lepiej, gdyby każdy swobodnie rozporządzał edukacją własną i dzieci? Niechaj się ludzie douczają przez całe życie, wśród sobie równych! Ile warta jest nauka w rodzinie, środowisku, grupie zawodowej... Niech studiują to, co ich naprawdę zajmuje, co im naprawdę potrzebne!¹² Także kościół klerykalny, hierarchiczny jest zbędny i niezrozumiały. Księży nie jest za mało, ale za dużo, ponieważ przyszłe społeczności religijne składać się będą z rodzin i przyjaciół. Kapłani, biskupi będą gośćmi, wędrownymi apostołami, jak niegdyś. A medycyna współczesna — czyż to nie szaleństwo! Poświęca się fortuny na techniki, które przedłużają o kilka dni półżycie nieuleczalnie chorych. Tymczasem w Brazylii miliony ludzi zdychają na dezynтеріę. Nigdy cała ludzkość nie będzie leczyć się w klinice Mayo. Człowiek musi się także nauczyć umierać... Tak więc właśnie biedniejsi bliźsi są lepszej, bardziej ludzkiej cywilizacji — wbrew rozszalałym faustycznie społeczeństwom technicznym. Człowiek będzie szczęśliwszy, kiedy — świadomie, dobrowolnie — narzuci sobie odpowiednie ograniczenia. Niechaj sprawiedliwie zaspokajają niezbywalne potrzeby. I pomyśli o możliwościach, które w sobie nosi. Niech odrodzi poczucie wspólnoty i demokrację bezpośrednią — na farmie i w warsztacie, w szkole i kościele. Piękne marzenie. Jak tyle innych, o których nie wspomnę. I znowu — szukajmy skrytych przesłanek. Społeczeństwo musi sobie samo ustanowić

¹² I. Illich: *Une société sans école*. Paris 1971 oraz *Libérer l'avenir. Appel à une révolution des institutions*. Introduction d' E. Fromm, Paris 1971 (przekłady z angielskiego).

„górne granice”. Tym samym zaprowadzić — szeroko rozumiany — socjalizm. Ale ten socjalizm, a raczej powodzenie socjalizmu, zależy od prawdziwości mitu o dobrym dzikusie. Bo jeśli człowiek nie jest dobry, nigdy nie wysublimuje łąpczywości potrzeb w kulturę i woli potęgi — w braterskie współzawodnictwo! Tak więc Rousseau warunkuje Marksa, Marks hinduskiego *guru*, buddyjskiego mnicha czy chrześcijańskiego *poveretto* (projekt Illicha jest monastyczny z ducha)¹³. Ale przecie Marks nie zalecał ascezy! Dobroć człowieka nie jest dogmatem wiary! Oświecenie nie dopuszczało myśli o kresie postępu! Nic to. Właśnie takie sprzężenie utopii jest na Zachodzie społecznie efektywne. Owszem, budzi szyderstwo ludzi ciężkiej pracy i nie zaspokojonych pragnień. Nie-nawiść lub pobłażanie ludzi czynu i praktyki społecznej. Sceptyczną sympatię ludzi dobrej woli... Ale cząstkowe krytyki — choćby najśluszniesze — uderzają jak groch o ścianę o rozpalone serca i zafascynowane umysły. Bo przecie utopijność nie przesądza o wartości, zwłaszcza w epoce lunonautów. Bylibyśmy naprawdę „szkieletów ludem”, gdybyśmy podobne marzenia lekceważyli. I może nie mamy już w ogóle innego wyjścia, jak takiej utopii zaufać?

Witkacy mówił nieraz o złudnej nadziei cofnięcia mechanizacji i „zbaranienia”. Wahazar chce „odmechanizować ludzkość, pozostawiając jej wszystkie zdobywcze społeczne rozwoju”¹⁴. W *Matce*

Rousseau,
Marks i Budda

Dobre rady
Wahazara
i Sajatana

¹³ Illich jest o wiele uczciwszy i konsekwentniejszy od tych przywódców undergroundu, którzy — w głupocie czy złej wierze — zapewniają swoich młodych zwolenników, że w przyszłości można będzie zwalić cały trud produkcyjny na maszyny, co pozwoli ludziom na spontaniczny, nieprzerwany i wszechstronny rozwój, nie napotykający materialnego oporu.

¹⁴ St. I. Witkiewicz: *Dramaty*. T. I. Wyd. II. Opracował i wstępem poprzedził K. Puzyna. Warszawa 1972, s. 624. Dalej: *DI* lub *DII*.

Leon radzi „zużyć (...) osiągniętą organizację społeczną, aby uświadomić każdego o niebezpieczeństwach dalszego jej rozwoju”¹⁵. Atanazy rozmyśla o „kombinacji maksymalnej, nie przekraczającej pewnych granic organizacji społecznej z ogólnym zindywidualizowaniem wszystkich”¹⁶. Nawet Sa-jetan z *Szewców* zapewnia, że „my, gdy zdobędziemy brzuch, stworzymy wtedy nowe życie”¹⁷. Wszystkie te zapewnienia zostają oczywiście wydrwione i skompromitowane. Pomyślmy jednak, co mogłyby dzisiaj oznaczać. Czy nie właśnie — obietnicę równowagi, poskromienia rozwoju, wyznaczenia granic postępowi... przy jednoczesnym skierowaniu ludzkiej energii i ambicji ku twórczości kulturalnej? W *Nienasyce* mówił Witkacy o rosnącej „komplikacji” współczesnego świata, która przerasta możliwości intelektualne białej rasy. Podstawmy pod komplikację — przyspieszenie wzrostu. A marzenia Illicha i jemu podobnych — pod optymistyczną utopię bohaterów Witkacego. Optymistyczną? Tak: daje przecie szansę ludzkości. Czy nie tak właśnie mogą rozumieć dylemat Witkacego zachodni czytelnicy? I czy nie będziemy go tak wkrótce rozumieć my?

7. Utopia pesymistyczna

W XIX wieku obiecywano nam raj na ziemi pod warunkiem budowy przemysłu i pomnożenia dóbr. Teraz zaś nowa Jeruzalem zależy od zastopowania rozwoju... oraz od globalnej solidarności. Albowiem „przyhamowanie wzrostu demograficznego i ekonomicznego nie może doprowadzić do zamrożenia *status quo* (...) zostałyby

Silniejszy
muszą się
osłabić...

¹⁵ *DII*, s. 408.

¹⁶ St. I. Witkiewicz: *Pożegnanie jesieni*. Warszawa 1927, s. 440.

¹⁷ *DII*, s. 551.

to uznane za końcowy akt neokolonializmu (...). Przewodnictwo będą musiały przejść głównie państwa rozwinięte pod względem ekonomicznym. Pierwszym krokiem tych państw byłoby przyhamowanie swego własnego wzrostu dóbr materialnych przy równoczesnym popieraniu narodów rozwijających się w ich staraniach o rozwinięcie ekonomiki w znacznie szybszym tempie”¹⁸.

Co to oznacza? To, że silniejsi muszą się sami osłabić. Stany Zjednoczone, Japonia, Europa zachodnia i zapewne wschodnia winny zadowolić się tym, co posiadają i produkować więcej — dla innych. Zarazem społeczności opóźnione muszą okazać niebywałą wielkoduszość. Czy Indie, Chiny, Arabia zdołają pokonać pokusę hegemonii i zawiadnięcia swymi dotychczasowymi ciemiężcami? Przebaczenie przychodzi zwykle trudniej skrzywdzonym niż nasyconym... Dlatego też — czytamy w *Granicach* — „nie ma oczywiście pewności, czy wartości moralne człowieka będą wystarczające, aby rozwiązać problem nierównego podziału dochodu nawet w stanie równowagi”. Ja bym dodał: zwłaszcza w stanie równowagi. Musimy także założyć, że obywatele społeczeństw rozwiniętych zadowolą się taką działalnością, „która nie wymaga dużego przepływu zasobów nieodtwarzalnych i która nie powoduje znaczniejszych zniszczeń w środowisku”. Wtedy „takie działania, które większość (?) ludzi zalicza do najbardziej pożądaných i przynoszących zadowolenie człowiekowi — oświata, sztuka, muzyka, religia, podstawowe badania naukowe, sport oraz działalność społeczna — znajdowałyby się w rozkwicie”¹⁹.

Co na to Witkacy? Zapewne uśmiechnąby się sardonicznie. Czy społeczeństwo egalitarne byłoby jeszcze zdolne do rozwoju, a jeśli tak, to w jakim

...a ślabi
przebaczyć

¹⁸ LG, s. 194—195.

¹⁹ LG, s. 179 i 175. Pytajnik w nawiasie pochodzi od autora rozprawki.

Czy ludzie
myślą tylko
wtedy, kiedy
muszą?

kierunku? Zmniejszenie i — w granicy — likwidacja różnic materialnych mogłaby się wyrazić spowolnieniem wszelkiego rozwoju. Talentów metafizycznych ludzkość nigdy nie miała w nadmiarze. Jak mówił Brecht, ludzie myślą tylko wtedy, kiedy muszą. Autorzy *Granice* wierzą, że „społeczeństwo oparte na równości i sprawiedliwości będzie bardziej zdolne do rozwoju w stanie równowagi globalnej, niż to się dzieje w okresie wzrostu”²⁰. Jest to wiara szlachetna, ale — jak wszystkie — trudno sprawdzalna. Znane jest także sprzężenie między rozwojem a agresywnością. Jak najlepiej rozwijają się zwierzęta silne i „złe”, tak zwycięża najbardziej agresywny, pozbawiony skrupułów władca czy przedsiębiorca. Tak myśleli Makiawel, Hobbes... Myśl chrześcijańska, przeciwnie, zmierzała zwykle do uznania, a nie do usunięcia różnicy, co miało rozbroić czy wysublimować agresywność. Ale doczesne trudy chrześcijanina są zawsze syzyfowe. Jego prawdziwym celem pozostać musi królestwo niebieskie... Witkacy, człowiek samotny, monada sarkastyczna, niechętna czułości, odrzucał takie pobożne złudzenia...

Walka
wszystkich ze
wszystkimi
o wszystko

Granice wzrostu nie biorą oczywiście pod uwagę ewentualnych wojen i zakładają wspólne działanie ludzkości. Co jednak powiedziałby historyk? Chyba to, że w miarę wzrostu trudności, spowodowanych rozwojem przemysłu i zużyciem dóbr nieodtwarzalnych, wzrośnie także strach i rywalizacja. O ziemię i żywność najpierw. O surowce następnie. O czystość wreszcie. Czy już dzisiaj nie „eksportuje” się zanieczyszczeń, przenosząc do biedaków przemysły niszczące środowisko? Bogate kraje czy kontynenty będą się najpewniej otorbiać, oddalać i ubezpieczać — sprawną techniką, także wojenną — od rozpacz i napastliwości sąsiadów. Mimo rozwoju środków przekazu społeczeństwa będą się również coraz gorzej rozumieć. Czy nie jest już

²⁰ LG, s. 175.

tak dzisiaj, że politycy o średniowiecznej mentalności popijają whisky z wysłannikami XXI wieku? Rozwój scalił świat geograficznie. Ale rozsmarował go w czasie... Co zatem nastąpi, kiedy biedni zrozumieją, że nigdy nie dościgną bogatych? Zaś bogaci, że mogą już tylko swe bogactwo stracić? Czy świat nie zmieni się w nowojorską ulicę, polityka ludzkości — w gangsterskie porachunki? A może ludzi jest już w ogóle na świecie za wielu, aby mogli utworzyć jedną ludzkość?

Witkacy niechętnie przedstawiał społeczeństwo przyszłości. Mówił, że wszystko rozplynie się wtedy w „coś w polskich terminach niewyraźnego”²¹. Czasem jednak uchylał rąbka zasłony. I cóż przewidywał? Najpierw — zaspokojenie elementarnych potrzeb. Najpierw rozpaczliwie skromnych, później może — przeciętnie komfortowych. Z własnej żony — powiadał — własnego domku i własnej szczołki do zębów nikt nie zrezygnuje. Obfitość dóbr nie jest więc urokiem biurokratycznego społeczeństwa przyszłości²². Trzyma się ono raczej dzięki wyższości moralnej. Nawet w Ameryce — powiada Witkacy — ludzie nie okazali się „pełnymi świniami” i „olbrzymie pieniądze”, przeznaczone robotnikom, nie zapobiegły przewrotowi. Dążenia egalitarne kojarzą się z imperialnym idealizmem. Sajetan Tempe, podobnie jak Chińczycy

Cóż
przewidywał?

²¹ St. I. Witkiew cz: *Nienasycenie*. T. II. Warszawa 1957, s. 354.

²² W *Nienasyceniu* państwa zachodnie, jak wiadomo, są już „zbolszewizowane” — co prawda „łagodnie” — i finansują polskie przedmurze ze strachu przed Chińczykami. W Polsce też panują względnie dobre warunki materialne. Tymczasem na Zachodzie występuje „ciągły spadek produkcji i wzrastająca pod płaszczykami wielkich idei (tych wielkich naprawdę) nędza robotników” (t. I, s. 155). Czyżby ta osobliwa uwaga dowodziła, że Witkacy zakładał relatywne zmniejszenie tempa rozwoju ekonomii w społeczeństwach socjalistycznych?! Ale możliwe także, że to żart czy mistyfikacja.

Mało dawać,
mało żądać

„Milcząca
większość”
Witkacego

w *Nienasyceniu*, poświęca się głównie przygotowaniom wojennym. Ale co innego najlepiej cementuje nowe społeczeństwo.

Zwycięża ono, ponieważ — takie odnosimy wrażenie — daje nie więcej, ale mniej, zarazem zaś mniej od ludzi żąda. Społeczność przyszłości jest po prostu — łatwiejsza. Owszem, każe pracować: ale przecie nie tak, aby niszczyć zdrowie i życie. Wygasza motywacje, które skłaniają do osobistego wysiłku. Uspokaja nienasycone jednostki, pozbawiając je jakiegokolwiek inicjatywy. Atanazy wykonuje papierkową, doskonale zbędną robotę. Chińczycy zachowują się jak automaty. Ale przymusu, terroru nikt właściwie nie nadużywa. Potrzebny on jest tylko do przycinania rąk i głów tym, którzy mogą się niebezpiecznie „wychylić”. Dowodem egzekucja Kocmołuchowicza, który oddał najeźdźcy największą z przysług. Ale z jaką kawalerską fantazją! Kocmołuchowicz jest tytanem. Kartki na żywność, wystawianie w przedpokojach, uciążliwa codzienność wykańczają Atanazego. Genezyp już uprzednio wypalił się do cna. Społeczeństwo nie daje wiele, ale daje pewnie. Zarazem zwalnia od wszelkiej odpowiedzialności, zaopatrując w zdobywczą ideę (Tempe) albo w namiastkę religii (Murti-Bing). Ostatecznie więc przyszedł konformizm pojmuje Witkacy dwojako. Albo na modłę pokojową, łagodnie bezlitosną. Jej współczesną aproksymacją mogłaby być — na przykład — mentalność amerykańskiej „milczącej większości”. Czyż Witkiewiczowskie społeczeństwo nie jest bowiem — gigantyczną — „niższą klasą średnią”? Taką jednak, gdzie porażka nie obniża społecznej roli, gdzie sukces sąsiada nie pobudza do wysiłku, gdzie przedsiębiorczych nie nagrodzą już żadne przywileje. Albo na modłę totalitarną, gdzie wojenny cel spełnia rolę „ideału” pozwalającego równać głowy i myśli. Obie możliwości uważa Witkacy za dwie strony tego samego medalu. Doświadczenie pokazało, że istotnie

nie są one tak od siebie odległe, jak zdawało się wtedy, kiedy powstawało dzieło pisarza.

Można by jeszcze powiedzieć, że w społeczeństwie Witkacego zwycięża odmowa rozwoju. Przyspieszenie technologiczne przekracza możliwości człowieka, rozsadza społeczne struktury. Co pozostaje, jeśli nie — zwolnić rozwój przemocą? Takie domysły także na świecie powstały. Może właśnie duch dziejów hamuje nieznośny postęp potężniem biurokracji? Dzięki niej bowiem słabnie wymiana informacji, pomysłów, wartości. Zostaje zaprogramowana z góry, wierność programowi zaś jest ważniejsza od celów, którym wymiana ma służyć. Łatwiej też w takiej społeczności zastąpić konkurs o dobra rywalizacją o władzę, która — jako niematerialna i odtwarzalna — nie grozi naruszeniem równowagi ekologicznej? Dla trwałości środowiska lepsze byłoby społeczeństwo rządzone przez policję niż przez pieniądz, ponieważ pieniądz zmienia się zwykle w towary, policja zaś — w najgorszym wypadku — zaludnia cmentarze tylko. Takie społeczeństwo — w nieprawdopodobnej przyszłości — funkcjonować będzie automatycznie. Może władców zastąpią komputery? Gdyby za czasów Witkacego istniały, pojawiłyby się na pewno w zakończeniach sztuk i powieści.

Tak powstanie nowe średniowiecze. Ale nie takie, o jakim marzył Bierdiajew, zapatrzony w piękny wiek XII. Wcześniejsze. Państewka barbarzyńców, zamknięte w sobie i tępe na wszystko, co trudniejsze i odmienne... Dlatego — powiadają najbardziej nieznośni z pesymistów — wszędzie rośnie wpływ aparatów urzędniczo-wojskowych. Raz śmieszne one, jak w Togo, raz śmieszne i straszne, jak w Brazylii, raz diabolicznie sprawne — nawet w marnotrawstwie (jak „kompleks przemysłowo-wojskowy” w USA). Gdyby kiedyś nastąpiło starcie takich machin, rozwiązałyby zapewne wszelkie problemy przeludnienia, wygłodzenia itd. Biurokratyczne

Zbawienie
przez
biurokrację

Nowe
średniowiecze

zmechanizowanie byłoby więc wyrazem rezygnacji z rozwoju, jednostkowego i społecznego. Zarazem zaś — radykalnym uproszczeniem trudności związanych z przyspieszeniem technologicznym, transformacją społeczeństw i koniecznością stworzenia „nowej kultury”, której domagają się futurologowie. Byłoby wielkim *pas*, wyszeptanym przez ludzkość; odpowiednikiem instynktu śmierci, o którym mówił Freud. Tak docieramy z powrotem do najczarniejszych przeświadczeń Witkacego.

* * *

Proszę mnie dobrze zrozumieć.

Autor nie czuje się miarodajny

Nie czekam ani raju, ani piekła techniki. Ani łagodnym anarchistą nie jestem, ani nie boję się konformistów. Owszem, zachodzę czasem w głowę, co się ze światem stanie. Ale nie czuję się miarodajny w skórze proroka.

Szukam tylko znaczeń, które by dziś przypisać można prorocत्वom Witkacego. Odczuwa się je nieraz jako „trafne”. Ale co to właściwie znaczy? Jego społeczne krajobrazy — jak zawsze w sztuce — cechuje niedookreślenie. Jego „model świata” jest wysoce wieloznaczny. Tym bardziej, że pomija — modnie mówiąc — istotny parametr: technologię. A dzisiaj ona najbardziej trwoży i fascynuje. Można więc tylko dostrajać prorocत्व do współczesnego doświadczenia intelektualnego. Okaże się wtedy, że gdzieś uderza trafnością, gdzieś zachodzi w cień. Obraz jest jakby „przesunięty”. Tu przypomina fotografię, tu karykaturę, tam wreszcie — niekształtną plamę.

Zadna utopia się nie sprawdza

Witkacy był skrajnym katastrofistą. Czy jego pesymizm teraz się właśnie sprawdza? Pan Bóg raczej wie. Zapewne nie, bo żadna utopia nigdy się nie „sprawdza”. Przewiduje najwyżej przyszłe lęki, nie przyszłe rozwiązania. Dlatego nie dyskutowa-

łem słuszności diagnoz, co najwyżej zasadność założeń. Ale to już pozwala pokazać, jak Witkacy jest bogaty. Jego dzieło nie jest tylko satyrą na sanacyjną Polskę albo świadectwem kontrrewolucyjnej paniki. Witkacy jest ciekawszy dla nas niż dla tych, którym *Szewcy* kojarzyli się z napadami chłopów na kresowe dworki.